

Chiński syndrom

23 grudnia 2016

Zachwycający się domniemanym zwrotem geopolitycznym Stanów Zjednoczonych pod antychińskim sztandarem wzniesionym przez Donalda Trumpa – zachowują się trochę, jak ci polscy przedwojenni politycy, których cieszyło, że najpierw III Rzesza napadła na Czechosłowację, a nie na II RP.

Oczywiście, podobnie jak przed 1939 r. – każdy zysk na czasie jest zyskiem wymiernym, a Polska powinna konsekwentnie za swój priorytet uznawać odsuwanie od siebie niebezpieczeństwa wojennego tak w czasie, jak i w przestrzeni. Jednocześnie jednak zadowolenie, że (na początek handlowa) wojna wybuchnie zapewne między USA a Chinami, nie zaś między Ameryką a Rosją – pomija co najmniej dwa istotne elementy.

ŻÓŁTE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Po pierwsze – że władze III RP na ochotnika zgłoszą się do dowolnej wojenki zarządzanej przez Waszyngton. Przecież ani w Afganistanie, ani w Iraku – walki nie toczyły się i nie toczą z jakże przyrodzonym wspólnym wrogiem Polski i Ameryki, czyli Rosją, a jednak wojska polskie karnie były tam wysyłane! I to z całym „żledziejstwem” inwentarza – kosztami, stratami w ludziach, reorganizacją Sił Zbrojnych RP, kosztowną i służącą wyłącznie wojnom kolonialnym (oraz zewnętrznym koncernom) polityką zbrojeniową, psuciem resztek pseudo-doktryny „obronnej” państwa, pozwalającej na sianie naszymi żołnierzami gdzie się tylko zaoceanicznemu hegemonowi zamarzyło. Cóż więc niby przeszkodzi amerykańskim klientom zarządzającym nad Wisłą w odkryciu, że Witkacy był wieszczem i słusznie ostrzegał przed chińskim niebezpieczeństwem?

W tym właśnie kontekście należy chyba widzieć objawienie Antoniego Macierewicza uznającego Jedwabny Szlak za „zagrożenie dla Polski”. I jest to tym bardziej znaczące, że

ta ogłoszona „szokującą” i „niespodziewaną” wypowiedź ma przeszło rok, co pokazuje, że neokonserwatywni mocodawcy obecnych władz III RP znakomicie przecież rozumieli – i nadal rozumieją, że najważniejszym problemem dla USA jest współdziałanie chińsko-rosyjskie. Zwłaszcza, gdyby perspektywicznie zostało ono uzupełnione, jeśli nie całkowitym wyzwoleniem Europy, to przynajmniej zdywersyfikowaniem jej interesów gospodarczych w ramach „mostu kontynentalnego”, „nowego Jedwabnego Szlaku” lub któregośkolwiek z analogicznych projektów. Czy elita amerykańska stara się rozbić kooperację państw zainteresowanych budową multipolarnego ładu światowego poprzez zimną czy gorącą wojnę z Rosją, czy przez konstruowanie sojuszu antychińskiego – za każdym bowiem razem wychodzi na to samo. Cel jest jeden – utrzymanie globalnej hegemonii Waszyngtonu, dolara i reprezentowanych przez nie interesów finansowych.

To jest właśnie druga i kluczowa płaszczyzna rozumienia domniemanych zmian w polityce amerykańskiej. Wbrew nieuzasadnionym marzeniom niektórych, nie ma żadnych symptomów, że mamy do czynienia z neoizalocjonizmem czy wejściem Stanów Zjednoczonych na drogę polityki „narodowej” w miejsce imperialnej. Jedyne, co zapewne zaobserwujemy – to co najwyżej zniuansowanie, czy przetasowanie na liście metod służących temu samemu, hegemonicznemu celowi. Z tego właśnie, czysto polskiego partykularnego punktu widzenia drugorzędne znaczenie ma czy przy neutralności chińskiej zaprowadzono by dyktat zachodni w Rosji – czy, neutralizując Rosję, osłabiono by konkurencję Chin. W świecie bowiem zorganizowanym geopolitycznie, tak jak obecnie – miejsca na Polskę po prostu nie ma.

BŁĄD SIERPNIOWY

Znowu więc – Polacy powinni patrzeć raczej nie na to, co dzieje się w dalekiej waszyngtońskiej metropolii, ale jakie decyzje zapadną w Moskwie. Odsunięcie bezpośredniego niebezpieczeństwa zawsze wydaje się kuszącą opcją, odpowiada

też bieżącym interesom rosyjskich elit – i, co najważniejsze mentalności rosyjskiego przywódcy. Włodzimierz Putin to przecież odrzucony zapadnik, czy raczej zapadnik z konieczności nawrócony na bardzo nieśmiały i niepewny euroazjatyzm. Przede wszystkim jednak to polityk szczerze zainteresowany, by wszystkie ewentualne kłopoty spotkały ojczyznę już po zakończeniu jego kadencji, a ponadto z natury Kutuzow raczej niż Suworow, zwolennik defensywy i przeczekiwania zagrożeń. Przeniesienie ich na inny podmiot, w dodatku obecnie wyraźnie korzystający na zawarciu rosyjsko-amerykańskim i nie spieszący się z okazywaniem Moskwie jakiejś szczególnej solidarności wydaje się więc i dla Kremla okazją nie do pogardzenia. Już od czasu kryzysu kubańskiego Moskwa cofa się jednak przed bezpośrednią konfrontacją z Zachodem, proponując w zamian rachunek potencjalnych obustronnych strat.

W tej sytuacji jednak liczyć się powinien również długofalowy interes strategiczny. O ile bowiem można sobie wyobrazić samotny opór Chin w ramach wojny finansowej z USA, a nawet zadanie Wall Street pewnych strat, o tyle Rosja sama ze światem zachodnim może walczyć bodaj tylko militarnie, a i to licząc raczej na sprzeciw opinii publicznej i społeczeństw wroga przed eskalacją strat. Ani Pekinu, ani Moskwy nie stać więc per saldo na to, by dać się wybrać pojedynczo, niczym ryby z saka, jakby powiedział Pan Zagłoba. Ponadto zaś W. Putin musi pamiętać o losie Mikołaja II, który też dał się Anglosasom przekonać do „odprężenia” i resetu po „Wielkiej Grze”. Przed przeszło stu laty Rosja również dała się wpuścić w konflikt z państwem, które mimo obszarów rywalizacji – było w istocie naturalnym sojusznikiem i uzupełnieniem interesów rosyjskich, prowadzącymi się do przełamania hegemonii ówczesnego światowego imperium. Wiadomo jednak, jak to się skończyło i dla Rosji, i dla cara, i dla całego globu (nawet przy przejściowym i raczej niepowtarzalnym polskim zysku).

Jasne też, że tradycyjne kunktatorstwo obecnego rosyjskiego przywódcy znowu, jak nie raz w przeszłości – może mu się

opłacić. Chiny, jak wspomniano, choć rozpoznawały przecież te same, geopolityczne, wielobiegunowe zależności – również nie przesadzały z podpieraniem polityki rosyjskiej. Bezpośrednie zagrożenie amerykańskie tak czy owak zmieni także relacje Pekin-Moskwa i układ sił między obiema stolicami, ale przecież niekoniecznie akurat w kierunku pożądanym i suflowanym przez Waszyngton. W tym, i kto wie czy nie głównie w tym zakresie, polityka Donalda Trumpa może się faktycznie i ostatecznie przydać nie tylko Rosji, ale i wszystkim liczącym na choćby minimalne „poluzowanie krat” w amerykańskiej klatce. Sama w sobie jednak żadnej pozytywnej zmiany dla Polski nie niesie. Nadal pozostajemy dla amerykańskiego Rzymu „zadupiem zadup”, czyli współczesną Judeą – i to taką, w której każdy niedoszły Bar Kochba marzy tylko o zostaniu namiestnikiem... A nadzieja – jeśli w ogóle – przyjść może bodaj tylko ze Wschodu, już to najbliższego, już najdalszego – a najlepiej z obu łącznie. Zwłaszcza, że rodzimych mędrców ciągle jakoś brak.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: Geopolityka.org